

# Dajcie spokój z tym realizmem

Wit Szostak  
**Chochoły**  
Lampa i Iskra Boża  
Warszawa 2010

Wit Szostak (mówimy o artystycznym pseudo) przyszedł na świat w trudnym dla polskiej literatury fantastycznej okresie. Rok 1999 bowiem był to dziwny rok. Fin de siècle zastał fantastów w rozsypce. Po dekadzie, w której królowali tacy oryginalni pisarze, jak Sapkowski, Dukaj, Huberath, Ziemkiewicz i Lewandowski, nastał czas posuchy i dezorientacji. Gdzieś poginęły dobre teksty, kruszyła się dominująca rola miesięcznika „Nasza Fantastyka”. Wizjonerzy zeszedli ze sceny na antrakt lub zajęli się zjadaniem własnego ogona w autoparodystycznym stylu. Wobec tego widownię próbowali rozbawiać nowi twórcy, którzy jednak nie mieli jeszcze do zaproponowania wiele ponad klisze zachodniego popu. Kiedy spojrzymy na listę nominacji do Nagrody imienia Janusza Zajdla w 1999 roku – wśród 6 opowiadań widzimy 3 wydane w amatorskich fanzinach „Czerwony Karzeł” i „Fenix” (który mógł jedynie wspominać lata świetności),

ale i te wzięte z „Nowej Fantastyki” były wyborem na pustkowi. Nazwiska? Tandemu Joker i Rec nikt dziś nie pamięta. Maja Lidia Kossakowska (wówczas debiutująca) jest teraz wysokonakładową i płodną pisarką, ale kroczy wciąż wyznaczoną przez siebie ścieżką ledwie poprawnie pisanej rozrywki. Ewa Białołęcka tworzyła opowiadania niezbyt wyrafinowane, ale pełne dobrych uczuć (najwyraźniej takich brakowało w Polsce), a Konrad Lewandowski swoim El Ninio 2035 odcinał kupony. Wówczas zwyciężyło CyberJoly Drim Antoniny Liedtke, ewenement i znak czasu, bo było opublikowane w Internecie i pisane internetowym slangiem – i to w zasadzie jego główne zalety.

Był to ewidentny czas przełomu, powodowany również uwięciem rynku wydawniczego. Dukaj toczył kilkuletnią batalię o wydanie kolejnej powieści i zbioru opowiadań, które miały go za 4 lata odrodzić jako dojrzałego motyla. Sapkowski kończył swój cykl o Wiedźminie i fani zachodzili w głowę, czy popularny autor odpłynie do krainy Avalonu, Anna Brzezińska dopiero debiutowała literacko, zanim wpadła na pomysł stworzenia markowego wydawnictwa. Andrzej Pilipiuk – fascynujący grafoman, ale przynajmniej mu to – późniejszy odnowiciel polskiej literatury, wołał na puszczy o wychowywanie czytelników. Robert Szmidt dopiero miał założyć swój kiepski periodyk „Science Fiction”, który (też przynajmniej mu to) odkryje dla świata między innymi Rafała Kosika, Łukasza Orbitowskiego i Maćka Guzka. Potenciaci mainstreamu: Wydawnictwo Literackie i Dolnośląskie, nie wiedzieli, że za chwilę będą robić z fantastyki produkt markowy. A w Lublinie małe medyczne wydawnictwo zastanawiało się, co by tu wydrukować – dziś produkują 90 procent egzemplarzy polskich książek fantastycznych, jakie zalewają księgarskie półki.

A co najgorsze, Polacy jeszcze nie wiedzieli, że chcąc czytać polskie książki.

Co tu zresztą mówić o polskiej literaturze, skoro kino światowe miało się jeszcze gorzej. Jeśli wierzymy w symbiozę sztuk, to uwiad prozy przeplatał się z uwiadem filmu. A w 1999 roku dogorywało stare i wykluwało się nowe. Koniec staro- niech reprezentuje film I stanie się koniec z Arnoldem Schwarzeneggerem, film o końcu świata z rąk szatana w roku 1999. Dzieło z ambicjami, lecz mialkie. Tak jak mialki był późniejszy o kilka miesięcy powrót Gwiazdych wojen pod postacią Mrocznego widma. Zamykały one okres z okładem dekady, w której twórcy kina SF albo nie wiedzieli, co mają do powiedzenia, albo brakowało im technicznych możliwości (z wyjątkami, jak Terry Gilliam i jego 12 małp). Tamten świat dogorywał, ale miał się wyrodzić nowy, bo bracia Wachowscy już kombinowali film o białych królikach i czerwonych pigułkach, a Peter Jackson chodził za pieniędzmi na film o małych Hobbitach.

W takim świecie posuchy pojawiło się opowiadanie Kłopoty z błaznem. To był debiut! Nie ugrał żadnej nagrody, nikt go nie wyróżnił, ale wielu zapamiętało go dobrze. Wyrafinowany intelektualny tekst, spisany bogatym językiem, wnikający w tajemnice psychologii, odżegnujący się od realizmu. Autor pisał o czymś innym niż dotychczasowi, niemiatcy przecież, twórcy. To jedno opowiadanie starczyłoby, żeby świat fantastyki (który ceni autorów pojedynczych tekstów) po dziś dzień pamiętał Wita Szostaka.

Ale tamta proza była jedynie wstępem do literackiej wspinaczki i literackiego odszczepieństwa.

Każdy dobry pisarz musi być odszczepieńcem. Musi wystrugać swą własną pieczęć. Szostak zaczął od modyfikowania fantasy, lecz z czasem zaproponował „fantastykę totalną”, przez co poddeptał fantastykę. Wyszedł z trochę innego dziedictwa niż to anglosaskie. Miast inspirować się

spekulatywną wyobraźnią spod znaku Tolkiena, czerpał bardziej z symbolizmu autorów pokroju Borgesa, Calvino, Marqueza. Było już w Polsce kilku autorów, którzy wędrowali podobnymi ścieżkami – wszyscy związani z literą „s” – Szysda, Sobota, Szczepan Twardoch, no i Szostak.

Nabrawszy rozpędu, Szostak zaczął pisać „dziwolągi”. Bo czy porządny, ułożony czytelnik nie nazwie dziwolągiem powieści napisanej jako zbiór oberków (co to w ogóle są oberki?), śpiewnym rytmem, nawrotami kompozycji opisującej „banalną” historię rodziny w najbardziej zabitej dechami wiosce w Polsce? Banalne problemy, miłość, muzyka i poszukiwanie straconego wiejskiego czasu, jak wyjęte żywcem z ksiązek Tadeusza Nowaka. Ani słowa o politycznych rozgrywkach w potężnych królestwach (tym się zajmuje fantasy), upadłych aniołach i bywalcach wirtualnej rzeczywistości (tym się zajmuje SF). O dziwo, ta anomalia zatytułowana Oberki do końca świata zyskała uznanie w fantastycznym świecie. Być może przypodobana się wzruszającą poetyką i głębią magiczno-realistycznej wizji. Można bowiem próbować tę powieść określać jako polskie liryczne Sto lat samotności.

Chochoły to pod względem fabuły luźna kontynuacja Oberków. Ale pod względem formy jest tym, czym przeważnie są drugie części filmowych hitów – 10 razy więcej efektów specjalnych. Szostak coraz konsekwentniej podąża za swoim literackim credo. Literackie przetwarzanie rzeczywistości prowadzi do całkowitego zerwania z realizmem.

Sama fabuła z wiejskiej przeradza się w wielkomiejską. Poznajemy wielką kamienicę w Krakowie zamieszkaną przez członków jednej rodziny, którzy opanowani wizją zebrania klanu pod jednym dachem, odzyskują stopniowo mieszkania starego domu. Wspólnie ustalają rodowe rytuały, sposób świętowania, zasady wieczerza-

nia, chowania zmarłych, codziennych czynności. Dom poznajemy z narracji trzydziestolatka, którego imienia autor nie podaje. Ojciec narratora przed laty zapadł w śpiączkę w niewyjaśnionych okolicznościach, a brat, geniusz o niespokojnym duchu, przepadł tuż przed wigilią Bożego Narodzenia. Akcja toczy się właśnie od Bożego Narodzenia do Wielkiego Postu. Główny bohater podąża śladami zaginionego brata, spotyka jego znajomych, odkrywa jego fascynacje muzyczne, zapiski. Wchodzi w jego skórę. Wiąże jego zaginięcie ze śpiączką ojca. Jednocześnie obserwujemy barwne opisy życia w Domu i jego burzliwe przemiany w przeciągu tych paru miesięcy. Oprócz Domu obserwujemy Kraków, a ten jest miastem wypaczonym, ulegającym zmianom. Jednym razem jest niczym nadmorski port porzeczinany kanałami, gdzie po Rynku Głównym pływa się gondolą, kiedy indziej widzimy, jak odbywają się w nim karnawałowe obrzędy nie gorsze od tych w Rio, a jeszcze później zamienia się w arenę dziwacznej wojny domowej, epidemii bezsenności lub w wyludnioną pustynię niczym po kataklizmie nuklearnym.

Literackiego mięsa jest więc wiele. Szostak w każdej scenie wplótł mrowie refleksji i narracji. Dla przykładu przez kilkadziesiąt stron snuje opis świąt Bożego Narodzenia w rodzinie Chochołów. Roztrząsa powiązania kulinariów z kulturą. Obserwuje wzajemne relacje i zachowania domowników, pozornie nieznaczące, a w istocie skrywające dramaty. Rysuje fresk, który tkwi gdzieś między psychologią a socjologią. Bardziej dynamiczny opis otrzymujemy, kiedy umiera jeden z domowników i cała rodzina musi ustanowić nowy obrzęd pochówku w rodowej kaplicy na strychu oraz w piwnicznych katakumbach i kiedy się okazuje, że ta jedna śmierć oznacza całkowitą przemianę domowych układów. Równie bogate są opisy świata poza kamienicą. Szostak wymyślił i zrelacjonował karnawałowy obyczaj „stosów”, kiedy to w noc sylwestrową

cały Kraków bawi się przy wielkich ogniskach płonących szczątków mebli. Dynamiczna, choć niezbyt chyba udana, bo ocierająca się zbytnio o groteskę, jest relacja z wojny secesyjnej, jaka wybucha w sercu stolicy Małopolski. Stare centrum miasta bowiem postanawia się odłączyć od macierzy. Rosną barykady, tworzą się komitety, rozpoczynają się wysiedlenia, zbiegają zagraniczni korespondenci, wybuchają dziwaczne walki i szpiegowskie podchody.

Tak pokazane są makroscenerie. Powieść jest jednak przede wszystkim wędrówką duszy narratora bez imienia. Formalnie – jednego z Chochołów, który za namową swej matki poszukuje zaginionego brata, Bartka Chochoła. Realnie – nie wiadomo kogo. Rozwiązanie zagadki tożsamości bohatera może być kluczem do interpretacji całej powieści. Bohater wędruje przez zmieniające się krajobrazy miasta. Widzimy, jak pomimo pozorowanej swobody relacji brakuje mu nici porozumienia z resztą domowników. Obserwujemy, jak rozwija się jego związek miłosny z Zosią. Jak podczas pracy (jest historykiem sztuki i przewodnikiem turystycznym) opowiada zagranicznym turystom alternatywne, zmyślane, legendarne wersje historii królów pochowanych w wawelskich kryptach. Jak odkrywa historię muzyki ludowej dziadków, która z wioską przywędrowała do Nowej Huty i zasymilowała się z jazzem. W pewnym momencie, gdy bohater zaczyna tropić kolejne zagadki z życia swojego brata, powieść staje się podobna do thrillera historycznego. Ale ten wątek szybko zaczyna się rozsypywać, a nastroje narratora stają się coraz bardziej neurotyczne, coraz bardziej surrealistyczne staje się jego postrzeganie świata.

Ten surrealizm nie jest przypadkiem. Senność wypełnia historię Chochołów. Bohater czuwa, gdy inni śpią. Śpi, gdy świat jest aktywny. Im bardziej brnie w życie, tym dłużej śni. Zmyślane legendy o Kazimierzu Wielkim opowiadane +

turystom koncentrują się wokół motywu króla pogrążonego w śpiączce w trakcie krucjaty do Jerozolimy. W śpiączce tkwi ojciec bohatera. Kraków atakuje epidemia bezsenności.

Sen jest więc kluczem. Kolejne scenerie powieści nie wiążą się w całość. Wątki są urywane przez inne wątki. Coś, co w innej opowieści byłoby istotnym szczegółem prowadzącym do kulminacji (jak np. tajemnicza kaseta z nagraniami koptyjskiej liturgii albo apokryf spisany przez zaginionego brata), tutaj okazuje się nieważne i jest bezlitośnie porzucane. Taka jest jednak logika snu – skutki nie mają przyczyn i niczemu się nie trzeba dziwić. Chochoły to może być opowieść o nieprzerwanym śnie. Czyim? To już otwarte pytanie do czytającego.

Taka forma to deklaratywny rozwód z realizmem. Całkiem niedawno w eseju *Po co fantasy realizm?* Szostak wyłożył swoje literackie poglądy. Według niego niepotrzebnym ograniczeniem jest to, że literatura fantastyczna, zarówno naukowa SF, jak i magiczna fantasy, posługuje się techniką prozy realistycznej. No bo przecież czy cybernauta rusza na podbój cyberprzestrzeni, czy czarnoksiężnik rzuca wyzwanie światu – zawsze mamy do czynienia ze światem przedstawionym, który jest efektem przeróbki dokonanej na bazie naszego świata w myśl spójnych założeń. Po zbudowaniu tego fantastycznego świata autorzy opisują go w formie ortodoksyjno-realistycznej. Największą estymą w ocenie takich dzieł cieszą się spójność wizji i racjonalność w postępowaniu bohaterów. Według Szostaka jest to podejście mocno przestarzałe: „Podczas gdy cała światowa literatura dostrzegała niewystarczalność paradygmatu realistycznego – koniec wielkich narracji, zburzenie jedności świata, wreszcie zużycie pewnych form literackich – fantasy w najlepsze wznosiła mury wokół powieści realistycznej. W tym sensie fantasy nie jest gettem, tylko skansenem, chęcią ocalenia czegoś,

w co można wierzyć tylko wtedy, kiedy zamknie się oczy na świat dookoła”.

Tak więc mamy główny nurt, który się rozwiódł z realizmem (Mann, Schulz, Joyce, Marquez), oraz fantastykę, która do niego przyłgnęła. To, co proponuje Szostak, polega na fantastyce bez realizmu. Nie on pierwszy, i jest dyskusyjne, czy da się tak tworzyć na większą skalę. Jacek Dukaj uważa, że oniryczno-nierealistyczna proza nie znajdzie odbiorców, gdyż fantastykę, według niego, czytają eskapiści, którzy jeżeli już znajdują się w innym świecie, to potrzebują odczuwać jego realność. Znowuż Lech Jęczynek przed laty wyszedł z konstatacją, że papier (i czytelnik) nie może znieść zbyt wiele niezwykłości. Jeżeli opisujemy świat, który nas otacza, na sposób awangardowy, wówczas odbiorca nie czuje się zagubiony, bo z dwóch elementów (przedmiot i jego opis) zna ten pierwszy. Natomiast fantastyka zawarła niezwykłość już w pierwszym elemencie – samym świecie przedstawionym. Gdyby dorzucić tutaj nierealność jego postrzegania – byłoby to zbyt wiele. Gdzieś musi być punkt zaczepienia dla percepcji.

Szostak deklaruje „pójście na całość”. Ale czy jest tak w istocie? Zarówno Oberki..., jak i Chochoły opisują świat banalnie zwykły – radomską wioskę i krakowską kamienicę. Wobec tego nie jest on więc bardziej fantastyczny od Schulza. Choć nie można wykluczyć, że Szostak manipuluje nie tylko przy postrzeganiu, ale również przy samym przedmiocie świata. Może rzeczywiście Kraków został rozdarty wojną domową. Może faktycznie wyparowali wszyscy ludzie. Może chociaż Dom Chochołów, który przecież jest pierwszorzędną utopią, z jaką się chyba jeszcze nie spotkano ani w literaturze, ani w świecie realnym, to coś, co naprawdę wystąpiło w życiu bohaterów. Obawiam się że tego nie rozstrzygniemy, skoro nikt nie jest w stanie jednoznacznie postrzegać.

Szostakowskie zabawy z opisywaniem pozostawiają nam dwie główne interpretacje: oniryczną i impresyjną. Ci bardziej przywiązani do rzeczywistości mogą przyjąć, że cała narracja jest snem – pozostaje zastanawiać się czym. Ci, którzy nie wierzą w jednoznaczność przekazu, mogą zaryzykować tezę dalej idącą i niewykluczającą poprzedniej – świat postrzegamy wedle swojego nastroju. Nawet najbardziej niewrażliwy na impresjonizm mężczyzna ma czasem tak, że chodząc ulicami rodzinnego miasta, jednego dnia widzi same piękne, młode, roześmiane dziewczyny, a innego dostrzega jedynie szarych, zmęczonych ludzi. Czy to świat się zmienia, czy nasze oglądanie? Czy jest jeden Kraków, czy tyle Krakowów, ile obserwacji przetworzonych przez ten subiektywny odbiornik, jakim jest człowiek? Czy jeżeli zamieszka w nas ukojenie, to po Rynku Głównym zaczną pływać gondole? A jeżeli wkradnie się niepokój, to na Floriańskiej ustawią barykady?

Życie na jawie to nierozzerwalne małżeństwo świata na zewnątrz ze światem wewnątrz. Sen nie potrzebuje tego pierwszego.  
Muzyka, ludzie, pamiątki, słowa.  
Wszystko mieści się w środku.  
Ja.

**Krzysztof Głuch**

# Animacja, czyli uduszenie

Kacper Bartczak  
**Życie świętych ludzi**  
Wydawnictwo Kwadratura  
Łódź 2009

Dzisiaj książki hagiograficzne już nam nie grożą. Przynajmniej nie na taką skalę, aby zatwardziały grzesznik nie sięgnął po książkę pod tytułem *Życie świętych ludzi*. Bez obaw, Kacper Bartczak proponuje kadry z życia człowieka, który nie jest doskonały i który taki być po prostu nie jest w stanie.

W opisywanym świecie znaleźć można całą paletę niedoskonałości, choć to wcale nie znaczy, że jest on zły. Iluzje, złudzenia optyczne, determinizmy nawarstwiają się jak fałdy obrusu, które tworzą osobliwy ornament, ciekawe poprzez zakłócenie na monotonnej powierzchni stołu. Taką właśnie ozdobą jest u Bartczaka człowiek – powstały z zakłóceń i nieistniejący bez nich.

W pierwszej z dwu części tomiku głównym źródłem obserwowanej dyfrakcji jest narzucony wzorzec społeczno-kulturowy, a dokładniej paradygmat zachowań masowych.